

Polak, Wiktoria

Syberyjska zsyłka w oczach dziecka

Czasy Nowożytne 2, 149-170

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Wiktoria Polak (Olsztyn)

Syberyjska zsyłka w oczach dziecka

Publikujemy tu obszernie fragmenty syberyjskich wspomnień Wiktorii Polak, z domu Lisowskiej. Przed wojną mieszkała ona wraz z rodzicami i ośmiorgiem rodzeństwa we wsi Sekły (powiat Widze) na Brasławszczyźnie. Jej rodzice uprawiali spore, ok. 40-hektarowe gospodarstwo. W momencie wywózki Wiktoria Polak miała 13 lat. Na Syberię trafiła wraz z rodzicami: Józefem i Pauliną Lisowskimi, oraz rodzeństwem: Felicją, Pawłem, Serwacym (zm. 1943 r.) i Czesławem. Po wojnie zamieszkała w Olsztynie, gdzie pracowała jako nauczycielka w liceum (obecnie na emeryturze). Pelen tekst wspomnień znajduje się w Archiwum Wschodnim w Warszawie, oraz w posiadaniu redakcji.

Tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, 20 VI 1941 r., o 4 rano do naszego domu zaczęto walić kolbami karabinów w drzwi. Po chwili do wnętrza wdarli się enkawudyści. Przed domem stały już furmanki. Powiedziano nam, że mamy pół godziny na ubranie się i zabranie potrzebniejszych rzeczy ze sobą. Nie radzono nam dużo zabierać, ponieważ mieli nam dać wszystko co jest do życia potrzebne. My obudzeni ze snu i przestraszeni łomotaniem płakaliśmy na głos. Mama chodziła od jednej szafy do drugiej i nie wiedziała co ma robić – czy uspokajać płaczące dzieci, czy pakować coś na furmanki. Ponieważ poprzedniego dnia moja koleżanka, a córka komunisty Reginisa – Bronka trochę nas przestrzegała, bracia: Edek, Romek i Józek, siostra Janka i brat Czesiek nie nocowali w domu. Oni też na Syberię nie trafili, gdyż parę dni później wybuchła wojna. Jedyne Czesiek powrócił do domu, gdy dowiedział się, że nas wywożą (był jeszcze mały i chciał być razem z rodzicami). Dodam w tym miejscu, że cała czwórka mojego rodzeństwa, która pozostała w Polsce (Janka, Edek, Romek i Józek Lisowscy)trafiła do Armii Krajowej. Janka była łączniczką, sanitariuszką, nauczycielką i inspektorem tajnego nauczania. Edek, Romek i Józek oprócz pracy w miejscowej komórce AK włączeni byli w charakterze plutonu osłonowego w strukturę „Wachlarza” (zob. wzmianki o nich w drugim wydaniu książki Cezarego Chlebowskiego na ten temat). Później Edek (por. Krzak) był dowódcą kompanii w 24 Brygadzie AK, konspirował także po jej internowaniu (którego udało mu się uniknąć). Aresztowany przez NKWD, 5 lat spędził w łagrze i 5 na „swobodnym posieleniu”. Do kraju wrócił w 1956 r. W 24 Brygadzie był także, mój brat Romek, zamordowany bestialsko przez żołnierzy sowieckich, wraz z dwoma kolegami w czasie próby ucieczki przed internowaniem. W 23 Brygadzie AK walczył Józek, który wrócił po wojnie do Polski i tragicznie zginął w 1946 r. (piszę o tym dalej). Janka, skierowana z ramienia AK do komisji repatriacyjnej w Ignalinie, wydała papiery na wyjazd setkom akowców.

Wróćmy jednak do owego tragicznych dni wywózki. Ponaglani przez enkawudystów, coś niecoś zapakowawszy, ruszyliśmy w kierunku stacji kolejowej – Postawy. Ludzie żegnali nas krzyżem i chlebem. Po długiej podróży furmanką w czasie

której spotkaliśmy innych zesłanych (także i znajomych), przywieziono nas na stację kolejową w Postawach. Tu już stały wagony towarowe z kratami w oknach i z dziurą w podłodze. W wagonach były nary – dwie półki z jednej i z drugiej strony. Chorzy i starcy zostali na dolnych półkach, zaś dzieci i kto się zmieścił, ulokowali się u góry. Po władowaniu nas, kazano mężczyznom iść do ostatniego wagonu w celu pokwitowania zawartości wagonów i dobytku, który się w nich znajdował. Nasz ojciec ruszył do tego wagonu jako ostatni. Napotkany przez niego młody enkawudzista z Leningradu powiedział mu jednak: „Wróć do dzieci, nie idź tam”. I w naszym w wagonie, z dorosłych mężczyzn został tylko mój ojciec, parę starców i chory na moczówkę prostą chłopak. Resztę mężczyzn zamknięto w oddzielnych wagonach. Jakież straszny lament rozległ się, gdy stwierdzono, że mężczyźni nie wrócą. Kobiety mdlały, dzieci zawodziły, matki krzyczały i wrywały sobie włosy. Posądzano niesłusznie mojego ojca, że umyślnie nie powiedział, iż nie należy tam iść. Nocą pociąg ruszył. Koszmarem okazało się sąsiedztwo z chłopcem chorym na moczówkę prostą, który nieustannie chciał pić, a po wypiciu zaraz oddawał mocz pod siebie. Smród niesamowity wyciskał łzy z oczu. Pomimo tego każdy, kto miał jakiś płyn dawał mu pić. Usta miał całe spękane, był błydy i drżący. Matka jego, miła kobieta, ciągle płakała i przeproszała. Ojciec mój, żeby podtrzymać ducha zaczął śpiewać: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, „Boże coś Polskę”, „Kto się w opiekę” i in. Pieśni momentalnie podchwytywał cały wagon. A potem już cały skład śpiewał, aby dodać otuchy tym odłączonym, samotnym i głodnym mężczyznom. Na nic zdały się walenia kolbą w drzwi przez strażników pilnujących zaplombowanych przeciw wagonów. „Mołczat, polskije mordy, strieliat' budziem” – dawało się słyszeć tu i ówdzie. Najgorsze przyszło kiedy zabrakło wody, bo jedzenia każdy na razie miał trochę przygotowanego na drogę (kto zaś nie miał to się z nim dzieleno). Siedzące na górnych półkach dzieci wyciągały przez kraty w oknach ręce prosząc w języku rosyjskim: „Tawariszcz, wodziczki!”. „Wodziczki” jednak wcale nie dostawaliśmy, była to jak się okazało kara za nasze śpiewy. Enkawudziści mówili wprost, że woda nam niepotrzebna, bo śpiew powinien nam wystarczyć.

Kolejną udręką było trafienie do dziury w podłodze. Rodzice trzymali dookoła rozpostarte koce, a nam trzeba było celnie załatwiać potrzeby fizjologiczne, bo przecież wody do zmycia nie było. Na polskich terenach czasem do wyciągniętej ręki trafiała butelka z wodą lub mlekiem, wetknięta przez jakąś odważną osobę lub kolejarza. Po przekroczeniu natomiast granicy polskiej naszemu pociągowi towarzyszyły ponure spojrzenia spod brwi i głuchy pomruk nienawiści. Kiedy po tygodniowej jeździe po raz pierwszy otworzono drzwi i wypuszczono za potrzebą, piękne panienki załatwiały się tuż przy starszych panach, młodych chłopcach i kobietach. My, dzieci nie myśleliśmy zbyt wiele o okropności owej sytuacji (same radziłyśmy sobie z tym jakoś w wagonach) i podśmiewaliśmy się, gdy bardzo gruby pan, z niecałkiem podciągniętymi portkami pchał się do wagonu. Natomiast grozą napełniały nas widoki zmarłych wynoszonych z wagonów i zostawianych na peronie, z którego odjeżdżał nasz pociąg. Zaledwie kilka razy w drodze do Uralu dostaliśmy gorącej wody, po wiaderku na wagon (tzw. kipiatak).

W czasie mijania Gór Uralskich przeżyliśmy nową tragedię, kiedy wzdłuż naszego pociągu przy świetle pochodni, pędzono pod bagnietami i karabinami naszych uprzednio oddzielonych mężczyzn. Płacz, szloch! Krzyki żołnierzy pomieszały się z brzękiem karabinów i westchnieniami pędzonych. A pociąg, jak gdyby nigdy nic, ruszył dalej i tylko w górach na tle ciemnej nocy, czas jakiś migotały światełka pochodni

oświetlających maszerującą kolumnę. Szli do kopalń, z których większość z nich nigdy nie wróciła. W drodze od Swierdłowska do Barnału, parę razy dostaliśmy po wiadro kałuśniaku na wagon.

Docelową stacją było miasto Barnaул w Ałtajskim Kraju. Tam zakwaterowano nas w cegielni, ściślej biorąc w szopach, gdzie się dosusza i przechowuje cegły. Baraki były bez ścian i miały jedynie dachy. Wszystkich od razu zapędzono do pracy. Była ona katorżnicza. Taczki obładowane ceglami przewracały się, cegły tłukły, dozorczy kłęli, zwłaszcza na pracownice. Młodziutkie dziewczyny i dzieci ciągle płakały. Mężczyźni wykonywali najcięższą pracę – ładowali mokrą glinę do wagoników, które potem wypychali po szynach na górę, gdzie mieścił się piec do wypalania. Wkładano do niego jednorazowo 1000 cegieł. Wypalone cegły wywożono do miasta. Dzieci i starcy zamiatali drogi i deski, którymi przejeżdżały taczki. Trwało to aż do silnych mrozów.

Dopiero kiedy mróz i śnieg pokryły ziemię i praca, a zwłaszcza zamieszkiwanie w cegielni stały się niemożliwe, przeniesiono nas na obrzeże miasta do tzw. pasiołka (przysiółka) IKT, gdzie wcześniej już przywiezieni Polacy wybudowali baraki. Pracowaliśmy teraz na budowie. W jednym pokoju o powierzchni 10 m² mieszkali trzy rodziny. Była to trzypokoleniowa rodzina p. Borkowskich i my, łącznie 22 osoby. Spaliśmy jeden przy drugim, tak blisko, że przewrócenie się na drugi bok było niemożliwe, ponieważ trącało się i tego z lewej i tego z prawej strony. Swobodę miał tylko ten co leżał z brzegu. W baraku mieszkało około 200 osób, a kuchnię mieliśmy jedną – trzypalnikową na drewno. Latem nie było to uciążliwe, gdyż gotowaliśmy jak Cyganie, przy ognisku. Natomiast zimą do kuchni ustawiały się ogromne kolejki. W pokojach pojawiły się pluskwy i pchły. Tych ostatnich było tak dużo, że wystarczyło nocą pociągnąć ręką po koszuli, a czuło się w garści ruszającą się masę. Do łaźni miejskiej nas nie wpuszczono, bo ciała mieliśmy tak pocięte i podrapane, że wyglądało to jak świerzb. Już na początku grudnia (1941 r.) zachorował na tyfus brat pana Borkowskiego i wkrótce zmarł w szpitalu. Po nim umarł jedenastoletni Tadeusz Borkowski. Następnie zachorowałam ja i synowa pana Borkowskiego. Zmarła też mała dziewczynka państwa Borkowskich.

Mnie zabrano tuż przed Bożym Narodzeniem 1941 r. do szpitala. Ogolono włosy na zero, wykąpano w ciepłej wodzie i położono na łóżku polowym, na korytarzu. Pod głowę dostałam jasek, pod bok prześcieradło, okryto mnie też tylko prześcieradłem. Nocą tak mi było zimno, że wyciągnęłam spod siebie drugie prześcieradło aby się okryć. Skutek tego był taki, że już następnego dnia miałam nie tylko tyfus ale również obustronne zapalenie płuc (mróży dochodziły na zewnątrz do 40 stopni a szpital był niedogrzany). W czasie kąpieli usiłowano mi odebrać różaniec, który miałam na szyi. Wczepiłam się w niego tak, że w garści pozostał mi krzyżyk, który przez cały czas trzymałam w zacisniętej pięści. Kiedy odzyskiwałam przytomność otwierałam oczy i prosiłam Jezusa, aby pozwolił mi żyć. To za Jego sprawą, a także mojej matki, która całą biżuterię, jaką miała zaniosiła lekarzowi, udało mi się przeżyć. Po interwencji owego lekarza przeniesiono mnie do sali i okryto kocem. Cóż, kiedy jedynym lekarstwem, które stosowano była kamfora wstrzykiwana na podtrzymanie serca. Pamiętam też, że nawadniano mi organizm przy pomocy ogromnej igły i butli z płynem odżywczym. Do butli podłączona była pompka, którą tłoczono płyn do organizmu. Ból przy tym był tak niesamowity, że wyłam jak dzikie zwierzę. Na moje szczęście obok mnie leżała ewakuowana z Moskwy, inżynier Nina, która jak matka doglądała mnie nieprzytomną. Ile razy otwierałam oczy widziałam jej piękną twarz przy sobie. Dawała

mi wody, smarowała spieczone usta i nos. Kiedy ją wypisano a ja mogłam siadać, przychodziła pod okno i całowała szybę przesyłając całusy. A potem jej fabrykę wywieziono dalej i kontakt się z nią urwał. Poszukiwania, które czyniłam po wojnie nie dały rezultatów. Naprawdę ją pokochałam. Po trzech miesiącach zaczęłam powoli siadać. Największym koszmarem stała się wówczas dla mnie leżąca obok, chora na tyfus Rosjanka. Często majacząc w gorączce pakowała się ona do mojego łóżka wołając: „Moja Gala” i ściskając mnie. Nie miałam sił ani krzyżeć ani uciekać. Początkowo pod rękę z sanitariuszem, a potem pomalutku sama zaczęłam poruszać się po sali od łóżka do łóżka.

Nastąpił długo oczekiwany powrót do domu. Dopiero w otoczeniu bliskich mi osób odzyskałam nie tylko spokój, ale i apetyt. Ten ostatni miałam wręcz szalony, a tu nic do jedzenia, tylko trochę otrąb pszennych z których mama gotowała zacier, jak dla cielaka. Szybko zachorowałam na nerki i podczas oddawania moczu leciała mi krew. Przy pomocy ziół, które matka dostała od starej doktorki i z tego wyszłam żywa. Przyszło lato i ojciec zaangażował się jako stróż na działkach pracowniczych szkoły muzycznej i piekarni. Odżyliśmy nieco, zwłaszcza dwaj młodszy bracia: Serwacy i Paweł, no i ja. U ojca można było podkopać trochę ziemniaków, a od piekarzy dostawał on dwa kilo chleba tygodniowo. Byliśmy więc syci. Często mieszkaliśmy w jarze, na działkach – w szałasie uplecionym przez ojca. Kiedy ojciec szedł do miasta (6 kilometrów), my pilnowaliśmy mu ziemniaków i ogrodów. Jednak, gdy się ściemniło ogarniał nas strach, baliśmy się wejść do szałasu, tylko siadaliśmy w ziemniakach. Przy jednym boku miałam brata Serwacego a przy drugim Pawła. Tak przycupnięci wlepialiśmy oczy w drogę. Kiedy w ciemności zabłyśły bose, białe nogi ojca pędziliśmy co sił w piersiach na spotkanie. [...]

Zimą zamiecie śnieżne były tak straszne, że o parę kroków nie było nic widać, tylko białą ścianę. Kierowałam się wtedy jedynie słuchem i instynktem, gdy wracałam na nasz „pasiołek IKT”. Pluskwy nadal tak dokuczały nocą, że nie sposób było spać. Wiosną często układaliśmy się przed barakiem, gdzie wprowadzie było zimno ale znacznie mniej pcheł i pluskiew. Wiosną chodziłam także 10 kilometrów za miasto, na łąki po dziką cebulę, którą wiązałam w pęczki i sprzedawałam na ulicy. Nieraz zamiast pieniędzy dostawałam tymi pęczkami po oczach od chuliganów, którzy nie tylko zabierali cebulę ale jeszcze i bili. [...]

Po wyjeździe państwa Borkowskich zamieszkaliśmy z państwem P. Była to rodzina białoruska składająca się z trzech osób – ojca, matki i dorastającej córki. Ta ostatnia wdzięczyła się do kogo tylko się dało. Kiedy nas wywieziono z miasta, wyszła za mąż za sowieckiego lejtnanta. Jej rodzice natomiast rozstając się z nami „pożyczyli” sobie kilka worków z ubraniem i bielizną. Kiedy po roku ojciec spotkał pana P. (opuchniętego zresztą z głodu), był w jego spodniach. Z moimi braćmi a także z kolegą – Jurkiem chodziliśmy kraść kapustę z sowchozu i zakisiliśmy na zimę całą beczkę. Jednak kapustę także „pożyczali” sobie nasi, inni już współlokatorzy. Cóż – głód robił swoje.

W tym czasie często brałam w obronę przed dziećmi chorą umysłowo córkę właścicieli dużych posiadłości ziemskich z Wileńszczyzny – państwa Pisanich. Teresa, bo tak miała na imię, była wysoką kobietą o męskiej niemal twarzy. Chodziła za mną krok w krok. Rano, kiedy jeszcze spałam, słyszałam słowa Teresy: „Proszę pani, czy jeszcze śpi moja piękna Wiktoria”. Biedaczka bowiem chciała wyjść z baraku, ale bała się szyderstw dzieci, zaś z moją obstawą czuła się bezpieczna. Kiedy obudzona siadałam

na deskach, nie podchodziła do mnie, tylko przykuciała nieopodal i śledziła moje ruchy. Wywieziono ich potem dalej i tak skończyła się nasza przyjaźń.

Pamiętam też jak raz nakopaliśmy na polu sowchozowym ziemniaków do koszyczków i toreb, a na wierzchu, żeby zamaskować nakładliwy grzybów. W drodze powrotnej natknęliśmy się na stróża, który zapytał: „Co niesiecie?”. Twardo odpowiedzieliśmy: „Grzyby”. On na to: „Pokażcie”. Podsunęłam mu więc ten koszyczek, w którym rzeczywiście były same grzyby, no i udało się. [...]

Raz ojciec kupił kiszonych ogórków, po których zjedzeniu dostałam czerwonki i musiałam znowu przebywać w szpitalu. Tam siostra szpitalna wypożyczyła ode mnie moje buty i zносиła je tak, że właściwie nie miałam w czym wracać do domu. Oddała je zresztą dopiero po interwencji u dyrektora szpitala. W ogóle dostać się do szpitala albo otrzymać zwolnienie lekarskie było bardzo trudno. Z późniejszego pobytu, w kolejnym miejscu zesłania – Ust' Czumyszu pamiętam pana Lewandowskiego, który nie dostał zwolnienia lekarskiego i zmarł w drodze z przychodni. Znalezione go w tajdze i pochowano, jako pierwszego na wiejskim cmentarzu w Ust' Czumyszu. Po nim pochowaliśmy tam matkę p. Dulińcowej, kobietę w starszym wieku, która opiekowała się synem swojej córki, gdy ta pracowała. [...]

Bardzo przyjaźniłam się także z młodą wówczas mężatką, p. Stasią Borkowską. Przed wojną dzierżawiła ona wraz ze swoim ojcem i bratem majątek marszałka Piłsudskiego w Zułowie na Wileńszczyźnie. Pani Stasia pozostawiła w domu dwoje małych dzieci, w tym Janeczkę, tylko co narodzoną córeczkę. Jej mąż – Ignacy utkwił mi w pamięci jako człowiek piegowaty i o rudych włosach. Pani Stasia, nie mając z kim serdecznie porozmawiać, zaczęła mi opowiadać o swoim synku i córeczce. Ja ją pocieszałam, ona płakała i tak nasza przyjaźń się gruntowała. Chodziłam do niej trochę do pracy i w chwilach odpoczynku uczyła mnie pięknych piosenek. Autentycznie pokochałam tę dobrą kobietę i bardzo martwiłam się gdy, wraz z mężem wywieziono ją gdzieś dalej.

Nadeszła jesień 1942 r., a potem zimowe chłody i wtedy przyszła wiadomość, że z miasta będziemy wysiedleni na wieś. I tak się stało. Zapakowano nas na statek (lodołamacz) i już zupełnie pokrytą lodem rzeką Ob, wywieziono w dół rzeki w stronę Kamińska do wsi Ust' Czumysz. W tej podróży wstrząsnął mną straszliwie pewien wypadek. Otóż jednej nocy wpadła z oblodzonego pokładu do rzeki matka mojej koleżanki, jedyna żywicielka dziewięcioosobowej rodziny. W środku nocy obudził nas głos nadawany przez tubę: „Na parachodzie, na parachodzie, czielowiek za burtom”. Tonąca była ubrana w kozuch ściśnięty pasem, dlatego jakiś czas jak korek kręciła się na wodzie za statkiem, ale wkrótce zniknęła. Przerażliwy krzyk dzieci długo towarzyszył mijanym brzegom Obu. Nie wiem co się stało z tymi dziećmi, bo nas wysadzono w Ust' Czumyszu, je natomiast powieziono dalej.

Wyrzucono nas (i kilka innych rodzin) na brzeg w miejscu, gdzie nie było żywego ducha. Dookoła tajga, najbliższa wieś odległa była o 7 kilometrów. Rozpaliliśmy ognisko, chorzy i mali schronili się w budzie pastucha, która stała w pobliżu brzegu. Usnąć było bardzo trudno, bo kiedy jeden bok, ten od ogniska nagrzewał się, drugi zamarzał na kość. Na szczęście spędziliśmy tak tylko dwie noce. Potem furami przewieziono nas do świetlicy klubu we wsi Ust' Czumysz. Sala nie była ogrzewana, ale i tak było tam ciepło, gdyż w sumie spało nas tam około 60 osób. Ojciec wykorzystał fakt, że w sali była scena i śpiewał znużonym ludziom tak, że nawet Rosjanie zaczęły się

cichutko wciskać i sala zapełniła się zupełnie. Ojciec śpiewał, także i po rosyjsku, miał przecież ukończone kilka klas rosyjskiego gimnazjum, jeszcze za cara.

Po tygodniu rozwieziono nas po różnych wioskach. My trafiliśmy do małej osady Nowa Strojka (przysiółka wsi Ust' Czumysz), gdzie zamieszkaliśmy w jednoosobowej izbie w drewnianym baraku. Brat Czesiek i siostra Fela zaczęli pracować przy spławie drewna na rzece Ust' Czumysz. Bale były wiązane w tratwy i spławiane w kierunku Kamieńska. Ja z młodszymi braćmi (Serwacym i Pawłem) zbieraliśmy jagody, borówki, rokitnik (który nazywaliśmy oblepichą) i kalinę. Po tą ostatnią przechodziliśmy przez rzekę po belkach drzewa pływających po rzece. Zebrane jagody wozilam statkiem do Barnału (90 kilometrów) rzeką Ob i za zarobione pieniądze kupowałam sól, a nieraz chleb (szczegółowo wyprawy te opiszę nieco dalej). Nocą chodziliśmy nad rzekę Ust' Czumysz łapać „jorsze” (jazgarze), które brały najlepiej właśnie po zmierzchu. Od komarów i muszek, które wlatywały wprost do oczu ratowaliśmy się dymem z ogniska rozpalonego na brzegu. Z braku sprzętu sporządziliśmy przybory wędkarskie własnej roboty, niestety bardzo prymitywne. Jesienią łapaliśmy ryby w małych bajorkach pozostałych po wylewie rzeki, wiosną brodząc po szyję w zamarzającej wodzie i łapiąc torbę, bo żadnej siatki nie było. Zimą stawialiśmy też sidła, ale zwierzyny było mało, a amatorów do łapania za dużo. Nieraz zimą chodziliśmy nocą podkraść ryby rybakom. Było to o wiele bardziej skuteczne od owych prymitywnych połowów, ale kosztowało nas wiele nerwów. Czekaliśmy zwykle schowani w lesie, aż rybacy wybiorą ryby i odjadą, wtedy mieliśmy pewność, że można działać. Szybko zbieraliśmy przeoczone przez nich lub uznane za zbyt małe rybki. Łup był niezbyt duży ale pewny.

Przyszła bardzo sroga zima. Temperatura przekraczała 40°C. Drzewa strzelały od mrozu (pękały). Nasze polskie buty zamarzały na kość i dzwoniły, jak żelazo. O nogach już nie wspominać, po prostu bolały tak, jak nieraz bolą w bardzo ciasnych butach. Moczyliśmy je w zimnej wodzie i nacieraliśmy śniegiem w domu. W naszej izbie, zbudowanej z nieociosanych belek poprzetykanych mchem, oprócz pieca i płyty kuchennej mieściło się tylko jedno łóżko. Spała na nim mama oraz dwaj bracia – Serwacy i Paweł. Siostra i ja spałyśmy na podłodze, brat Czesiek także na podłodze. Ojciec natomiast zbił sobie z cienkich sosenek prymitywną pryczę. Nie spało się jednak na niej dobrze, bo słabo ociosane okrągłaki bardzo gniotły wychudzone ciało. Ale niestety, miejsca na podłodze już brakowało, bo przecież stały tam jeszcze naczynia, nasze walizki i worki z dobytkiem. Ponieważ przywieziono nas późną jesienią nie mieliśmy zapasów drewna, tak jak tubylcy, którzy robili takie zapasy latem. Musieliśmy kupić drewno, ścinać je i rąbać zimą. Niedoświadczony ojciec kupił sosny rosnące w pobliżu naszego baraku, na brzegu polany. Błąd zemścił się na nas okrutnie, ponieważ sosny te, mając dość światła, były grube i bardzo sękaty. Podrąbywaliśmy je najpierw siekierą z przeciwnej strony od piły, a następnie piłowaliśmy na kolanach, w śniegu po uszy. Kiedy piła dochodziła do środka, pień zaciskał ją tak, że wcale nie dawała się ciągnąć. W końcu tubylczy chłopiec – Sierioza podpowiedział nam, że trzeba wbić klin drewniany przed piłę, szpara wtedy się powiększała i można było piłować dalej. Klóciliśmy się przy tej pracy straszliwie: a to, że partner za słabo ciągnie, a to, że za mało podrąbany pień. Wszystko to jednak szło w zapomnienie, gdy olbrzymie drzewo z wielkim trzaskiem i łoskotem leciało w dół, łemiać swoim ciężarem mniejsze drzewa. Niekiedy sosna przed obaleniem się robiła skręt i spadała nie tam, gdzie na pozór powinna. Byliśmy wtedy bardzo wystraszeni, ale strach szybko ustępował radości ze zwycięstwa. Biegaliśmy wtedy po grubych gałęziach, rąbaliśmy je siekierą, a do

grubszych używaliśmy piły. Suche gałęzie także zbieraliśmy i triumfalnie wracaliśmy do baraku ciągnąc za sobą naprędcę sklecone z gałęzi sanie z drewnem na opał. Nasza trójka najmłodszych dzieci musiała także piłować zrąbane drzewo na kłocce, a następnie zwozić je pod barak. Starszy brat Czesiek, po powrocie z pracy pomagał nam je rozbijać. Było to także skomplikowane przedsięwzięcie. Wbijaliśmy siekierę w środek kłoca, a potem waliliśmy w nią drewnianą kłonicą. Kiedy siekiera chowała się w kłocu, wbijaliśmy drewniane kliny, przy pomocy których rozwalaliśmy kłoc najpierw na dwie, potem na cztery i więcej części. Ta ciężka praca wyczerpywała całkiem nasze dziecinne siły, zaczęliśmy straszliwie chudnąć, a nawet pojawiło się u nas moczenie nocne.

Ojciec przeważnie był nieobecny. Zapisał długą brodę, chodził od wsi do wsi, najpierw kupował, a potem sprzedawał nieco drożej jakieś ubrania, serwety, bluzki a nawet wróżył (zmyślał co tylko przyszło mu do głowy). Myślę, że chodził też po prośbie, bo w torbach z ziemniakami znajdowaliśmy często kawałeczki chleba, lepioszek (placków mączno–ziemniaczanych), pieczonej dyni. Pytany skąd to ma nie odpowiadał nigdy. Opróżniał torby i szedł dalej. Nieraz nie było go i pięć dni. Czekaliśmy na niego jak na pierwszą gwiazdkę wigilijną, ratował nam życie.

Skoło już wspominałam o Wigilii... Pomimo straszliwego głodu postanowiliśmy, że Święta Bożego Narodzenia zorganizujemy najlepiej jak będziemy mogli. Już na początku grudnia (1942 r.) podzielił się zadania. Każdy musiał coś wnieść od siebie. Dorośli i pracujący mieli sprawę ułatwioną – mogli spróbować coś kupić. Dodatkowo ojciec zobowiązał się wymienić ciepły szal mamy na trochę mąki, mama zaś postanowiła wymienić sukienkę, z której wyrosłam, na krążek zamrożonego mleka. Gorzej było z naszą najmłodszą trójką (ja, Pawełek i Serwacy). Pawełek zadeklarował się, że zdobędzie trochę rybek. Zadaniem moim i Serwacego było zdobycie kaliny i oblepichy (rokitnika) na kisiel. O choinkę nie było trudno, rosło ich dookoła bardzo wiele. Gorzej było z przybraniem drzewka. Tu musieliśmy wysilić całą naszą dziecięcą fantazję. Nie daleko od naszej wsi występowała niebieska i żółta glinka, którą miejscowa ludność malowała izby. Posmarowane nią szyszki znakomicie udawały bombki i wyglądały wręcz wspaniale. Łańcuch wykonaliśmy ze słomek przetkanych krążkami papieru. Aż przyszedł dzień Wigilii. Na stole pojawiły się „wspaniałe” potrawy. Były kolorowe kisiele – żółty z oblepichy i czerwony z kaliny. Krochmal otrzymaliśmy z na wpół zgnitych ziemniaków zebranych przy kołchozowym polu. Były też kluski z dynią (którą przyniosła nam sąsiadka). Kluski były zabelone mlekiem i był to już szczyt naszych marzeń. Dostaliśmy też talerz gotowanych ziemniaków oraz uchę – zupełną rybą z rybek, które częściowo złowił, a częściowo pozbił po rybakach Pawełek.

Zaczęliśmy od modlitwy. Przerywał ją płacz mamy wspominającej trzech synów i córkę (Edka, Józka, Romka i Jankę), którzy pozostali w Polsce. Zamiast opłatka łąaliśmy się chlebem. Życzyliśmy sobie szybkiego powrotu do Ojczyzny, a także obfitości jedzenia. Prezentów pod choinką oczywiście nie było, bo i skąd. Były za to koledy, śpiewane tak pięknie, że do naszej izby wciskać zaczęły się dzieci tubylców z sąsiednich baraków. Te, które się już nie mieściły, przyklejały buzie do okien i nasłuchiwały. Odważniejsze próbowały też kisiele krzywiąc się przy tym bardzo. Wabiły one ładnymi kolorami, ale były niemiłosiernie kwaśne (o cukrze nawet nikt nie marzył).

Uroczyste witaliśmy także Nowy Rok. Na Sylwestra ojciec zaprosił z wioski polską rodzinę państwa Wierszyłłów z dziećmi. Przynieśli oni ze sobą trochę jedzenia (chleb, żółty zek, gęstej kaszy z prosa, kilka małych rybek i trochę chleba). My mieliśmy

oszczędzony zapas chleba, kisiele oraz kalinę na gęsto z dodatkiem dyni i ziemniaków. Była to prawdziwa, wystawna uczta (jak na owe czasy). Po wieczerzy śpiewaliśmy znowu kolędy a także piosenki patriotyczne, takie jak: „Czarna sukienka”, „Powiedz mi szara ptaszyno”, „Kibitka”, „O Gwiazdeczko”, „Bym opiewał kolor czarny”, „Użyjmy dziś żywota” i wiele, wiele innych. Śpiewaliśmy też piosenki ułożone przez nas samych:

Wygnano mnie na Sybir na wygnanie

A w kraju mym zostawiłam kochanie

Choć życie złe, chociaż los srogi jest

Weselmy się, bo to nie życia kres

Bo do nas młodych wygnańców wciąż się uśmiecha szeroki świat

A każdy spotkany Polak, byle morowy, każdy nam brat

Wygnano mnie... etc.

Późną nocą odprowadziliśmy państwa Wierszyńców do domu, bardzo zadowolonych z pięknych śpiewów (a ojciec mój, jak wspominałam, znał piosenek mnóstwo) i wieczerzy. Na pożegnanie życzyliśmy sobie spotkania za rok w Wolnej i Niepodległej Polsce. Nieprędko się spełniły te szczere życzenia. Wigilię z 1942 r. wspominam często i dzisiaj przy świątecznym stole. Późniejsze święta Bożego Narodzenia na Syberii nie miały bowiem już tak podniosłego nastroju. Śmierć brata Serwacego i liczne zmartwienia nie pozwalały cieszyć się nam w pełni pamiątką tego Wielkiego Dnia, gdy Słowo stało się Ciałem.

Wspominałam już, że siostra Fela z Cześkiem pracowali latem przy spalwaniu drewna. Polegało to na ściąganiu pni bosakami na rzekę. Zimą natomiast musieli pracować przy kopaniu korzeni sosen i świerków dla fabryki terpentyny. Pewnego razu buty Feli rozpadły się zupełnie i nie miała w czym iść do pracy. Jednorazowe nie wyjście do roboty spowodowało natychmiastowe jej aresztowanie. Byliśmy zaskoczeni i przerażeni, gdy do naszego baraku zawitał milicjant z karabinem i trzy kroki przed sobą poprowadził siostrę do aresztu. Ojca akurat nie było w domu, znajdował się we wsi odległej od domu o 15 kilometrów. Co gorsza, nie prowadziła do niej żadna droga. Zimą można było się tam dostać pieszo, po rzece Ob, w innych porach roku jedynie statkiem lub łódką. Gdy matka powiedziała, że Feli może pomóc jedynie ojciec, gdyż tylko on dobrze włada rosyjskim, doszłam do wniosku, że muszę go odszukać. Ubrałam się, jak umiałam najcieplej, do jednej ręki wzięłam kij, a do drugiej zapalki, aby straszyć wilki i ruszyłam w drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarłam do rzeki, której brzegi porośnięte były lasem. Staralam się trzymać środka. Biegłam, przewracałam się i znowu biegłam, nie wiedząc gdzie ta wioska i gdzie w niej szukać ojca. Ale myślałam: „Siostra potrzebuje pomocy” i pędziłam dalej. Każdy czarny punkt przede mną wydawał się wilkiem (a było ich w okolicy co nie miara, nawet we dnie zdarzało się widzieć przebiegające wśród drzew). Drętwiałam ze strachu, kiedy coś błyskało w oddali (albo mi się tylko wydawało, że błyska). Modliłam się i prosiłam Boga, żeby ta wieś się pojawiła. Tymczasem ściemniło się całkowicie i strach ścisnął moje dziecięce gardło. Pomyślałam: „A może tej wioski wcale nie ma, przecież w niej nigdy przedtem nie byłam”. Kiedy cała zdrętwiała z mrozu i strachu zaczęłam płakać, moim oczom ukazały się liczne światelka wioski (nazywała się Podgorna). Wtedy w jednej minucie strach odplynął a pojawił się niepokój: „Gdzie ja w takiej dużej wiosce znajduję ojca, a jak znajduję to co dalej?” Tymczasem światła przybliżyły się coraz bardziej i na koniec dobrnęłam do skraju wsi. Chodząc od domu do domu, odprowadzana ujadaniem psów, od których oganiałam się kijem, trafiłam wreszcie na ślad ojca.

Powiedziano mi, że na pewno znajdował się w domu pod górą. Gdy dotarłam do niego, gospodarze spożywali kolację. Gospodyni powiedziała mi, że owszem był i nocował u nich dwie noce, ale wczoraj rano wyruszył do wioski Inia położonej o 10 kilometrów dalej. Widząc moje łzy i stan, w jakim się znajdowałam, zaproponowała mi nocleg, na co bardzo chętnie przystałam, bo byłam straszliwie zmęczona. Nie zaproponowano mi jednak nic do jedzenia a zapach spożywanych przez nich pokarmów drażnił mi podniebienie i ślina gromadziła się w ustach. Leżąc w kącie, na podłodze szybko usnęłam i śniły mi się koszmary. Nawet dziś kiedy usypiam niezbyt najedzona mam straszne sny.

Rano, skoro świt zerwałam się, podziękowałam za gościnę i pobiegłam dalej do tej znanej, także tylko ze słyszenia, wsi Inia. Teraz już nie bałam się, słońko jasno świeciło, jedynie silny mróz dawał znać o sobie. Poza tym szłam po normalnej, twardej drodze, a nie po rzece. Tuż przed południem zaczęłam wchodzić pod wysoką górę, a na jej szczycie zobaczyłam znajomą sylwetkę ojca. Ciągnął sanki a na nich worek z ziemniakami. Dzieci bardzo się cieszą gdy ujrzą Świętego Mikołaja. Widok ojca w tamtej chwili był dla mnie sto razy radośniejszy. „Tato, tato – wołałam – Fele popędzili pod karabinem do wsi, do aresztu”. Ojciec wytarł mi nos, wsadził koszulę do spodni, pozapinał, ściągnął pasem kapotę. Zrobiło mi się ciepło, bezpiecznie i miło. Następnie ojciec z kieszeni wyciągnął kawałek chleba, kilka ziemniaków w mundurkach, kiszzonego ogórka, lepioszkę. Jadłam szczęśliwa i zwycięska. Powrotna droga wydała mi się bardzo krótka, bo ojciec od czasu do czasu pozwalał mi przysiąść na sanki, z których trudno mi się było podnosić. Kiedy wróciliśmy siostra była już osądzona i skazana na 4 miesiące więzienia za tzw. samowolne opuszczenie pracy w stanie wojennym. To, że była bosa nikogo nie interesowało. Ojcu kazano odstawić ją do więzienia w Barnaule. Nogi z resztkami butów owinęła brezentem i szmatami, pod spód włożyła kawałki opony i przy blisko 50° mrozu ruszyła razem z ojcem, odprowadzana płaczem nie tylko matki, ale i zawodzeniem nas dzieci. Wszystkie porcje chleba zostały oddane jej na drogę, sami żeby oszukać głód żuliśmy „sierę” – gumę ugotowaną z żywicy sosnowej mlaskając przy tym niemilośnie. Długo czekaliśmy na powrót ojca, który próżno molestował i prosił władze o darowanie rzekomej winy Feli. Wrócił przynosząc torbę z kawałkami chleba, gotowanych ziemniaków i odrobinę soli, której najbardziej nam brakowało. Za sól można było dostać prawie wszystko. Smutno mi było bez siostry, często o niej myślałam. Często też śniłam, że śpi przy mnie, a budząc się nocą płakałam, bo ona mnie najbardziej spośród rodzeństwa lubiła i często coś mi z pracy przynosiła.

Głód był straszliwy. Żeby go nie czuć spaliśmy dłużej, ale i to nic nie dawało, bo po obudzeniu było się jeszcze bardziej głodnym. Tymczasem zima szalała. Zamiecie i burze śnieżne zasypały drogi tak, że nawet dojscie do wioski z naszego przysiółka stawało się niemożliwe. Robiliśmy więc narty, próbując użyć do tego różnych gatunków drzew. Obciosane drzewko moczyliśmy w gorącej wodzie, a potem zaginaliśmy. Zamiast wiązań używaliśmy rzemyków wykrojonych z cholewy starego buta. Z czasem produkcję naszą udoskonaliliśmy tak, że mogliśmy szusować jak szaleni z pagórków i zboczy nad rzekami. Ręka Boska broniła nas przed roztrzaskaniem sobie łbów na drzewach. W podobny sposób konstruowaliśmy sanki, bez których poruszanie się zimą po tajdze było niemożliwe.

Na naszym osiedlu była wspólna łaźnia. Po jej odwiedzeniu i kąpeli dostaliśmy wszyscy świerzbę, który straszliwie dał się nam we znaki. Najbardziej dokuczał nocą,

kiedy małe pajęczaki wylazły na zewnątrz, na skórę. Zrywaliśmy się w czasie snu, drapaliśmy i krzyczeliśmy strasznie. Leków nie było, przykładaliśmy różne zioła i maseczki, bez skutku. Najbardziej zaatakowana byłam ja. Kiedy już naprawdę stałam się chodzącą, okrościoną i cuchnącą istotą zabrano mnie do szpitala we wsi Jazowa. Tam zostałam wykąpana i nasmarowana jakąś czarną maścią. Wyglądałam jak Murzyn. Po kilku dniach poczułam ulgę i chciałam z całego serca pozostać dłużej w tym szpitalu. Niestety musiałam wracać do domu. Dano mi trochę maści, żeby kurację powtórzyć i odesłano. W domu zapanowała wielka radość ze zdobytej maści, podzieliłam się nią ze wszystkimi i jakoś udało nam się zwalczyć te przekłete pajęczaki (świerzbowce). Natomiast pluskwy siedziały w szparach ścian, we mchu, którym obtykane były belki i nie było na nie żadnego sposobu. Nie pomagało ani polewanie wrzątkiem ani przypalanie palącym się lucykiem. Pasożyty te atakowały odkryte części ciała, przeważnie twarz, szczególnie policzki.

Dużo kłopotów mieliśmy na osiedlu ze zdobywaniem wody pitnej. W pobliżu nie było żadnej studni, a po wodę chodziło się do małej rzeczki, odnogi Ust' Czumysza, do tzw. Czumyszonka. Oddalony był on od baraków o co najmniej kilometr, przy czym z pustymi wiadrami szło się w dół, a z pełnymi pod górę. Wiadra doczepiało się do tzw. koromyseł, czyli nosideł, które zakładało się na plecy w pobliżu szyi. Same wiadra (drewniane) były ciężkie, a z wodą tak przygniatały nasze dziecięce plecy, że po takim spacerze człowiek czuł się jak zdjęty z krzyża.

Najgorszą plagą dla nas – dzieci stały się jednak miejscowe wyrostki. Znęcały się nad nami i dokuczały nieustannie. Po tym jak milicjant z karabinem zabrał naszą siostrę, doszli oni do wniosku, że my Polacy jesteśmy szpiegami, zdrajcami i największymi wrogami ich umiłowanego wodza Stalina. Zaczęli więc bić nas przy spotkaniu sam na sam – batem, kijem, czym popadło. Obrzucali nas gnojem, sypali śnieg za kołnierz, a braciom do spodni. „Ty Paliaczka, rozkariaczka” – szydzili. Śpiewali też piosenki o wojnie z Polakami w 1920 r. Jedna z nich opowiadała o sowieckim dowódcy, który został ranny w pierś od polskiej kuli. Leżąc w szpitalu obiecywał, po zdobyciu Warszawy, żołnierzom – awanse a swojej Marusi – małżeństwo. Początkowo byliśmy przerażeni i reagowaliśmy tylko płaczem oraz ucieczką do domu. Matka próbowała rozmawiać z ich matkami (ojcowie byli zazwyczaj na froncie), ale te samotne kobiety nie dawały sobie rady ze swoim potomstwem. Z upływem czasu stwardnieliśmy i zaczęliśmy prowadzić z prześladowcami wojnę niemal na śmierć i życie. Nie raz, nie dwa mieliśmy rozbite głowy lub nosy, ale stopniowo zaczęto się z nami liczyć a nawet bać. Obawiając się natarcia atakowaliśmy pierwsi bijąc prosto w nos, kopiąc nogami a nawet gryząc.

Nie wszyscy tubylcy byli jednakowo nam nieprzychylni. Wraz z nami, tylko po drugiej stronie baraku mieszkała babcia Masza Kałganowa. Zajmowała ona jedną izbę wraz z synową, wnuczką oraz siostrą męża i jej panięńskim dzieckiem. Synowa i siostra męża pracowały, syn był na froncie, a babcia Masza zajmowała się dziećmi. Za czasów carskich pracowała ona jako pokojówka „u bojara”. Często wspominała, jakie to były dobre czasy, a kiedy otrzymała zawiadomienie o śmierci syna na froncie modliła się do ikony stojącej w kącie pokoju i mówiła, że to na pewno kara Boża. Jej syn bowiem zdejmował krzyż, włączając na wieżę cerkwi, gdy nastał bolszewizm. Często też klęła na władzę i mówiła: „Niech już tu przyjdą Niemcy czy Amerykanie”. Często prosiła mnie, żeby zobaczyć, dlaczego ją tak swędzi głowa. Kiedy zaglądałam do jej siwych włosów, tam aż roilo się od wszy. Były one duże i jakieś żółtawe. Składałam je na papier a wtedy

babcia zabijała je hurtem, przygniatając kamieniem. Bardzo się brzydziłam tego zajęcia. Ale babcia tak natarczywie prosiła mnie, że nie mogłam się jakoś od tego wykręcić. Po śmierci syna, synowa przeniosła się do swoich rodziców, a babcia została sama z siostrą męża – Niurką i jej synkiem – „sieriożonkiem” (bękartem – tak go nazywała) – Gienką.

Z biegiem czasu zaprzyjaźniłam się z Mańką Timofiejewą. Była to dziewczynka w moim wieku, której ojciec był na froncie, natomiast matka pracowała. Miała ona dwie siostry – Niurkę i Szurkę. Szurka przeważnie przebywała u ciotki, siostry ojca. Mańka i Niurka zazwyczaj siedziały same w domu, opiekowały się krową, miały też kury i króliki. Ich matka nocą pracowała w piekarni, często zaś pracowała i w dzień i w noc. Dziewczyny przeżywały straszną tragedię, gdyż przyprowadziła ona do domu kochanka – Łońkę Kałmogorowa. Był to żołnierz, który na froncie stracił obie nogi, miał dwie protezy i chodził o kulach. Dziewczynki początkowo płakały, wyganiały go, ale na nic to się zdało. Zakochani chodzili razem do łaźni i spali też razem. Do ojca zaś, Mańka i Niurka bały się pisać.

Powoli zbliżała się wiosna. W Altajskim Kraju zaczyna się ona już w marcu. Roślinność najbujniej rozwija się w kwietniu i w maju, a już od połowy czerwca rozpoczyna się susza. W lipcu i sierpniu trawy stopniowo wysychają. Zaś we wrześniu zaczynają się chłody. Wiosną w tajdze jest przesłicznie. Zakwitają przyłaszczki, krokusy, sasanki. Te ostatnie są kosmate, pokryte zazwyczaj srebrnymi kropelkami rosy. Później zakwitają kosańce syberyjskie i wtedy całe podszycie tajgi pokrywa się ciemnosinym kobiercem tych wonnych kwiatów. Jeszcze później kwitną pstre lilie, cebulki których zjadaliśmy wiosną (lilia złotogłów). Z bylin najpospolitszy był piołun, który służył nam jako lekarstwo na wszystkie prawie schorzenia.

Wraz z wiosną nastawał nieznosny głód. Ojciec nie mógł już chodzić po lodzie do wiosek położonych za rzeką Ob, a pozostałe wsie były biedne. Lody ruszały w kwietniu (zarówno na Obie, jak i na Ust' Czumyszu). Towarzyszył temu straszny huk, który było słychać z odległości kilku kilometrów. Pędziliśmy wówczas nad rzekę, żeby obserwować żywiół piętrzących się gór lodowych, wrywanie nadbrzeżnych drzew i krzewów. Często na krach można było zobaczyć zwierzęta, psy i koty, a nawet cielęta. W niektórych miejscach zbliżyć się do rzeki było niesposób. Kry piętrzyły się pękaly, rozpryskiwały się na wszystkie strony. Podmyte brzegi urwiska obsuwały się ciągnąc za sobą drzewa.

Kiedyś na jednej z dużych kier zobaczyliśmy nagle wspaniałą łódkę. Bieglśmy za nią wzdłuż brzegu śledząc pilnie jak płynęła. W wyobraźni już widzieliśmy jakie możliwości i przewagę wobec innych dziećmi mogłaby dać nam ta łódka. Po kilku kilometrach, chyba na wskutek naszych gorących próśb zanoszonych do Boga, kra z łódką zaczęła powoli zbliżać się do brzegu. Wtedy zaczęliśmy się modlić aby inna, duża kra nam jej nie roztrzaskała. I tym razem prośby nasze dosięgły niebios i po chwili kra z łodzią zatrzymała się przy zwałonym drzewie. Część tego pnia była w rzece, natomiast grubszy pień oparty był o brzeg. Spośród nas trzech (Paweł, Serwacy i ja), tylko ja umiałam dobrze pływać. Ruszyłam więc przodem (po pniu), a za mną obaj bracia, zaczęliśmy łądzić paskami i powolutku przyholowaliśmy do brzegu. Ja z Pawelkiem zostałam przy łódce, a Serwacy popędził co sił w nogach do osiedla. Powrócił z łańcuchem i sznurami, którymi wyciągnęliśmy łódkę w bezpieczne miejsce a następnie zakryliśmy suchymi gałęziami i bardzo dumni ruszyliśmy do domu. Wracając uratowaliśmy czarnego psa – kundla. Był to mały ale bardzo silny pies. Brat Paweł zaprzęgnął go do sań i jeździł nimi po całej okolicy. Nazwaliśmy go Łukiem. Przy jego

pomocy przewoziliśmy też kloce drzewa z lasu i siano zbierane na drodze (gubione przez wozy transportujące je z łąk nad Obem do wsi). Na rzece znaleźliśmy także kotkę do której bardzo się przywiązaliśmy, ale zdechła latem przy porodzie (była źle odżywiana). Pochowaliśmy ją pochlipując, kląć na los i bolszewików, którzy nam ten los zgotowali.

Mając łódkę do dyspozycji byliśmy bardzo ważni i dumni. Pływaliśmy nią po rzece, posługując się tylko jednym wiosłem. Łapaliśmy ryby, zbieraliśmy małe rybki w zagłębieniach, po ustąpieniu rozlewu rzeki. Taka sielanka nie trwała jednak długo. Zazdrosne oczy wyrostków wyśledziły nasze wyprawy. Ukradziono nam łódkę, zostało tylko wiosło. Szukaliśmy jej całe trzy dni. Była odegnana 5 kilometrów dalej, schowana na brzegu i zamaskowana naleźycie. Po odzyskaniu łodzi znowu byliśmy ważni i dumni. Dorośli ludzie przychodzili i prosili: „No pażałusta, pieriewiezi Pawlik” (Proszę przewieź Pawelku). Na co ten mały brzdąc odpowiadał: „Pogodzi” (Poczekaj).

Głód nadal doskwierał ogromnie. Ojciec wyhandlował gdzieś trochę ziemniaków i cebuli. Po cebulę, która zastępowała tam słoninę wyruszyłam też ja, wraz z koleżanką Mańką Timofiejewą, do wsi Kulikowo. Była ona oddalona od nas ok. 15 kilometrów. Mańka miała tam ciotkę, której mąż był na froncie. Ciotka ta wychowywała 5 dzieci. Za jakieś łaszki dane mi przez mamę wyhandlowałam trochę cebuli, następnie zaś przez trzy dni przebywaliśmy u owej ciotki Mańki. Pracowała ona przy oczyszczaniu ziarna i w kieszeniach wszytych pod spódnicą przynosiła zboże. Tym żywiła nas wszystkich. Kiedy wracaliśmy do Polski mama oddała jej dużo naszych ubrań dla dzieci. Do Świąt Wielkanocnych było już niedaleko a u nas było coraz głodniej. Na dodatek część chleba oszczędzaliśmy, żeby zanieść dla siostry do więzienia.

Nadeszły Święta Wielkanocy (1943 r.). Były one smutne i głodne, pomimo wysiłków ojca i mamy. Mieliśmy trochę lepioszek z ubiegłorocznych ziemniaków, wykopanych na kołchozowym polu. Placki te były koloru smoły, ale zawierały odrobinę mąki ziemniaczanej (czyli skrobi). Mama ugotowała też zupy ziemniaczanej, a do tego każdy dostał kawałek chleba. Tak wyglądało nasze wielkanocne śniadanie. Przed śniadaniem śpiewaliśmy pieśni wielkanocne. Słyszac nasze głosy, mieszkająca obok babcia Każewnikowa przyszła z zapytaniem czy i ona może się z nami modlić. Oczywiście została z nami. Była to Ukrainka, tzw. kułaczka. Po zabraniu jej całego majątku przez bolszewików, ratując dzieci przed śmiercią głodową, wsadziła je do pociągu jadącego na Syberię. Miała nadzieję, że tam przeżyją. Z trojga dzieci, odnalazła po zesłaniu jej na Syberię dwoje i teraz mieszkała u najmłodszej córki, która miała do niej żal za poniewierkę, jaką musiała przejść. Babcia nie знаła polskich słów, ale skwapliwie i pięknie zawodziła: „Ałełuja, Ałełuja”. Widocznie to hebrajskie słowo po ukraińsku wymawia się podobnie jak po polsku. Śpiew się nie raz, nie dwa urywał, bo mamie zaczynały drzeć usta i wybuchała płaczem. Wtedy myśmy zaczęli też pochlipywać. A brat i ojciec prosili aby nie psuć nastroju i znowu wracaliśmy do modlitwy. Wszystkim nam brakowało siostry Feli. Do uroczystego śniadania zaprosiliśmy również babcie. Staraliśmy jeść łyżka w łyżkę, żeby było sprawiedliwie. Wieczorem babcia przyniosła nam trochę mleka i kilka ziemniaków. Mama ugotowała więc dynię na mleku z ziemniakami. Śpiewaliśmy piosenki wielkanocne i wspominaliśmy jak to było na Wielkanoc w Polsce. Jajka oczywiście nie zobaczyliśmy nawet na obrazku. Natomiast we wspomnieniach stukaliśmy się nimi i taczaliśmy je na łące, tak jak to robiliśmy to na Wileńszczyźnie. Te smutne i prawie głodne Święta Wielkanocne pozostały mi we wspomnieniach do dziś. Babcia Każewnikowa już dawno śpi w grobie, a jej śmieszne

(jak mi się wtedy wydawało) „Ałłuja” brzmi nadal w mojej pamięci podczas każdych Świąt Wielkanocy.

Wiosna rozwijała się pięknie. Pewnego dnia brat Serwacy niosąc wodę z rzeki na koromysłach (nosidlach), na plecach usłyszał z tyłu kukanie kukułki. A ponieważ babcia Kałganowa tłumaczyła nam, że to oznacza śmierć pobiegł do niej śmiejąc się i krzyżąc: „Babcia ja umru”. W tym czasie zdarzyło się też, że wracałam z tzw. Chary (była tam fabryka terpentyny), gdzie pracowała moja siostra Fela. Przechodząc przez wieś Ust' Czumysz zobaczyłam wybiegającego z pewnego domu chłopczyka, który szybkim krokiem zaczął się oddalać. Nie poznałam go i szłam za nim przez całą wieś a dogoniłam dopiero w lesie. Wtedy poznałam, że to Serwacy. Gdy to opowiedziałam w domu, obecna przy tym babuszka Kałganowa powiedziała po raz drugi, że on umrze. Uważałam wtedy takie gadanie za bezsens. A on naprawdę 31 maja 1943 r. zakończył swoje młode życie.

Na śmierć brata złożyły się bezpośrednio dwa wydarzenia. Jedno to zaginięcie krowy jednej z mieszkanek. Jej szukaniem zajęli się moi bracia – Czesiek i Serwunia (Serwacy). Krowę znaleźli, ugrzęźniętą w błocie i przy pomocy ludzi ze wsi wydobyli ją. Jednak Serwacy, chodząc boso po lesie i bagnach, poprzebijał sobie i pokaleczył nogi aż do kolan. Drugim wydarzeniem było wynajęcie się Serwacego do kopania ogrodu sąsiadki Jagunowej, w zamian za trochę ziemniaków. Do ran na nodze powłaziła czarna, próchnicza ziemia (kopał boso). A wraz z ziemią zarazki tęcza. Męczył się biedak bardzo w domu, a potem także w szpitalu. Na prośbę o ratunek lekarka odpowiadała: „Nasi mężowie giną na froncie, a tu jeśli jeden Polak zdechnie, to nic się nie stanie”. Nawiasem mówiąc mąż jej powrócił lekko tylko ranny i dobrze im się działo. Zrozpaczony ojciec wyruszył na poszukiwanie surowicy przeciwżółciwej do Barnału. Szedł pieszo 50 kilometrów w jedną i drugą stronę. Podana surowica już nie pomogła. Serwunia kurczył się i wyprężał, napinając okropnie mięśnie. Ataki coraz bardziej się nasilały. Stracił przytomność, nawoływał mnie i Pawełka. Prosił, żebyśmy mu nie zjedli porcji chleba, wreszcie, wśród wielkich boleści, zakończył życie 31 maja 1943 r. o godzinie 8 rano. Przy śmierci byli obecni oboje rodzice i brat Czesław. My, mali, byliśmy w domu. Spałam akurat na podłodze, kiedy nam powiedziano, że Serwacy zmarł. Coś ścisnęło mi gardło, płakałam bez przerwy. Ojciec z bratem poszli kopać grób na cmentarz odległy o 4 kilometry od wioski Ust' Czumysz. Mama siadła do maszyny i z zielonego drelichu zaczęła szyć zmarłemu ubranko. Ja z Pawełkiem siedziałam pod chałupą popłakując cicho i nikt się nami specjalnie nie interesował, oprócz babci Kałganowej. Mama, żeby przykryć nasze biedne ubranko i zaznaczyć żałobę, pocięła jedwabną, czarną chustkę na kawałki i założyła nam na szyję oraz plecy. Brat i ojciec opowiadali, że w czasie kopania grobu towarzyszył im duży, biały motyl. Trumną zajęli się znajomi Polacy – p. Wierszyło i p. Rodowicz. Oni też zbili piękny i mocny krzyż (pionowa jego belka przetrwała trzydzieści kilka lat). Brat leżał w trumnie wyprostowany i mimo 12 lat robił wrażenie dorosłego człowieka. Jego jasne, blond włosy stawały dęba i nie chciały przylegać do głowy. Za srebrną papierosnicę, wciśniętą przez ojca „zawiadującemu koniem”, wypożyczono nam konia. Gdyby nie łapówka, siedem kilometrów od szpitala musielibyśmy ciągnąć trumnę na wózku. Te siedem kilometrów tajgą, szliśmy za trumną sami. Dopiero we wsi dołączyli do nas mieszkający tu Polacy, a nawet dużo tubylców. [...] Nam nie było do śpiewu. Pamiętam jednak, że Polacy śpiewali: „Serdeczna Matko” i „Kto się w opiekę”. Do domu wróciliśmy ledwo żywi. Był piękny maj, zieleń wszędzie niezwykle soczysta i żywa, dookoła kukuły i

śmiały się kukułki. Nam zaś było tak smutno i ciężko, tak źle, że zapomnieliśmy nawet o głodzie. Dodam jeszcze, że p. Wierszytło ogrodził mogiłę wkopując w ziemię 4 bale zanurzone w smole i łącząc je sztachetami zrobionymi z młodych sosenek. Pozbijał to wszystko (z braku gwoździ) grubym, siekanym drutem. Ogrodzenie to sporządzone było tak solidnie, że dzięki niemu mogłam odnaleźć grób brata po 37 latach.

Mój brat Serwacy był nadzwyczajnym dzieckiem. Był on psychicznie dojrzały, jak dorosły człowiek, i to bardzo dobry człowiek. Przed Świątami Wielkanocnymi na Wileńszczyźnie starsi zachowywali post przez całe 40 dni. My – dzieci przyrzekaliśmy, że też będziemy pościć, ale mnie nigdy się to nie udawało. Zachęcona zapachem, czy wyglądem wędlin ukręcałam czasem kawałek szynki lub kielbasy. Serwacego niesposób było do tego namówić, był nieugięty. Kiedy leżałam w szpitalu przychodził pod okno i stał godzinami na mrozie, żeby mi tylko sprawić przyjemność. W dziecięcych bójkach stawał zawsze po stronie pokrzywdzonego, nigdy nie kłamał, kochał rodzeństwo i rodziców. Żeby spać przy mamie potrafił oddać pół porcji chleba. Bez pacierza nigdy nie położył się spać. Podziwiałam go i zazdrościłam mu charakteru, bo ja byłam słaba. Teraz zrobiło się nagle pusto, jakby świat się zawalił. Mama, która z głodu stała się teraz żółta, przestała zbierać trawę, tzw. koński ząb i wypiekać z tego zielone placki. Popadła w apatię i albo siedziała na słońcu, albo szła na cmentarz i wracała zupełną nocą. Teraz bardzo aktywny stał się brat Paweł. Łapał ryby, wybierał ptakom jaja. Wybierał nawet wronom piskletą, smażył je i zjadał, częstując nas. Ja początkowo bardzo się brzydziłam, ale kiedy już wszystko było zjedzone, lizałam kostki. [...]

Mama coraz bardziej oddalała się od życia. Coraz częściej też przebywała na cmentarzu, posadziła tam kwiatki, białą akację, a nawet czarną porzeczkę. Jakoś mniej interesowała się nami – żyjącymi, coś w niej pękło. Aż wydarzył się dziwny wypadek, którego byłam bezpośrednim świadkiem. Kiedy mama szła do paleniska, przy którym warzyliśmy (jak Cyganie) strawę, nagle na ramię mamy usiadł ptaszek, zwrócił dziobek w stronę twarzy i poruszając, i trzepocząc skrzydłami zaczął przemawiać w ptasim języku: „czy!, czy!, czy!“. Nie spłoszył się nawet kiedy mama wykonała obrót głowy, żeby mu się przyjrzeć. Był mały, szary i niepozorny, tak jak wróbel. I nie wiem jak długo byłby szczebiotał, gdyby nie jedno z dzieci tubylców, które wyciągnawszy rękę, żeby schwytać ptaszka zawołało: „Babuszka na Ciebie pticzka sidzi!”. I było to jedyny raz w moim życiu, gdy widziałam, że dziki ptak (a szczególnie już z tajgi) siadł komuś na ramieniu. Od czasu tego wydarzenia mama otrząsnęła się i jakby zbudziła ze snu. Zaczęliśmy kopać ziemię w miejscu, gdzie rosły przedtem pokrzywy i obsadziliśmy dość spory kawałek ziemniakami (które zdobył ojciec wymieniając za różne przedmioty).

Wiosna w tajdze miała jednak i bardzo złe strony. Pojawiły się masowo muszki, komary, a w ślad za komarami malaria, która zaczęła nam bardzo dokuczać niszcząc czerwone ciała krwi. Co 48 godzin następował wylęg zarodników malarycznych, któremu towarzyszył rozpad erytrocytów, co objawiało się bardzo wysoką temperaturą (nawet do 40°C). Ciekawe, że malaria jest zwana również „zimnicą”, ponieważ w początkowej jej fazie jest dla odmiany tak zimno, że trzęsie się całe ciało i dzwonią zęby. Produkty rozpadu krwinek gromadzące się w śledzionie powodują jej obrzęk, a przy nie leczeniu nawet pęknięcie. Rodzicom udało się na szczęście umieścić mnie w szpitalu, gdzie dostawałam chininę. Pomimo leczenia, malaria atakowała mnie jeszcze kilkakrotnie powodując silne uszkodzenie organizmu.

Do siostry Feli, do więzienia przeważnie chodził ojciec. Gdy jednak ojciec zachorował, zlecono to mnie. Musiałam iść przez tajgę 50 kilometrów do przystanku, a następnie jechać pociągiem. Zebraliśmy trochę produktów żywnościowych oraz owej „gumy do żucia” ugotowanej z żywicy (była bardzo gorzka). Wzięłam to wszystko do plecaka, do ręki zaś gruby kij na psy i wilki. W kieszeni miałam też kilka rubli na drogę. Mama odprowadziła mnie kawałek w tajgę a dalej, z duszą na ramieniu, szłam sama. Nie była to droga po której można jechać wozem lub samochodem. Była to „tropinka”, ścieżka wijąca się wśród wzgórz, wznosząca się i opadająca w pobliżu rzeki Ob. Kiedy uszłam kawałek drogi, poczułam się niedobrze. Pogoda była piękna, ptaki śpiewały, drzewa rozwinęły piękne liście, a mnie było zimno, bolały kości i trzęsłam się jak galareta. Włókłam się noga za nogą, co jakiś czas zdejmowałam plecak, kładłam go pod głowę i grzałam się na słońku. Aż przyszła temperatura, wtedy ból ustał ale osłabłam tak, że ledwie się włókłam. Pragnienie było tak silne, że kładłam się i piłam wodę z każdej napotkanej po drodze kałuży. W ciągu długiego, wiosennego dnia ledwo uszłam 20 kilometrów i poprosiłam o nocleg w leśniczówce Samotny staruszek, leśniczy pozwolił mi położyć się na podłodze w kantorze (tj. w biurze leśniczówki). Po tak spędzonej nocy, rano skoro świt ruszyłam dalej. Temperatura widocznie obniżyła mi się nieco, bo czułam się lepiej. Drżałam na myśl o wcisnięciu się do pociągu, nie wiedziałam też, gdzie się zatrzymam w mieście. Kiedy dobrnęłam do tzw. 5-minutowego przystanku, czekała już tam na pociąg gromada ludzi z węzełkami, walizkami i torbami. Peronu wcale nie było. Po prostu szczerze pole.

Zważyłam w to, że się w ogóle dostanę do pociągu. Z pomocą przyszedł mi jednak przypadek. Kiedy pociąg przystanął, tłuszcza wciągnęła mnie do wagonu, jak jakąś muchę przyklejoną do jej pleców. Oburącz trzymałam się ubrań ludzi pchających się przede mną i tak znalazłam się w pociągu. Bagaż miałam na plecach. Szybko dojechałam do Barnaulu. Tam ruszyłam pod centralne więzienie, gdzie na placu przed gmachem zgromadziła się duża grupa ludzi milczących, nieufnych i nie patrzących sobie w oczy. Na tym placu przestałam aż do wieczora. Byłam głodna, zmęczona i nie wiedziałam gdzie się udać na nocleg. O godzinie 21 zostałam na placu sama jedna. Wtedy drzwi się otworzyły i jakiś głos zawołał: „Lisowskaja”. Pędziłam co sił w nogach. Normalne widzenie wyglądało w ten sposób, że strażnik uchylał drzwi, pokazywał więźnia i pytał: „Ten?” Jeśli się potwierdziło, to należało oddać „pieredaczu” (paczkę) i uciekać. Tym razem, ponieważ pora była późna, a strażnik zobaczył przed sobą małą dziewczynkę, wpuścił siostrę do dyżurki. Przeraziłam się na jej widok. Fela zamiast pięknych, grubych włosów miała głowę ogoloną na zero. Była żółta i smutna. Padłyśmy sobie z płaczem w objęcia, zaczęłyśmy się całować i rozmawiać. Na to strażnik skrzywił się i zawołał: „Pa kakomu wy razgawariwatie, gawaritie pa ruskie”. A ponieważ nam ani się śniło rozmawiać po rosyjsku, wypchnął siostrę za drzwi, a mnie powiedział: „udieraj” (uciekaj). I tak się skończyło moje pierwsze widzenie z siostrą. Z więzienia pojechałam do naszego dawnego osiedla IKT, w nadziei, że znajdę tam kogoś kto mnie przenocuje. I nie omyliłam się. Po długich poszukiwaniach natrafiłam jednak na znajomego człowieka – panią Pieczonkową, która mnie przenocowała. Tylko pluskwy tak ciężły, że spać było właściwie niesposób.

Podczas widzenia siostra prosiła mnie o sól, bo im wszystkie posiłki dawano bez soli. Nazajutrz wybrałam się więc na bazar, gdzie za resztę pieniędzy kupiłam trochę soli. Tym razem długo na wyjście siostry nie czekałam, oddałam sól i poszłam do miasta. Głód dokuczał mi bardzo. Mijając piekarnię i sklep z chlebem (na kartki)

usiadłam na schodach, żeby trochę powąchać zapachu świeżego chleba. W kieszeni na piersiach miałam tylko tyle rubli, ile było potrzeba na bilet kolejowy. Kiedy o odpowiedniej porze stanęłam przed kasą okazało się, że kieszeń jest pusta. Okradli mnie. Chyłkiem przemknęłam się na peron i wsiałam do pociągu. Nie wiedziałam co mam zrobić: czy schować się pod ławką, czy na półce u góry. Postanowiłam jednak pozostać na ławce, bo się wstydziłam ludzi. Kiedy kontrolowano w jednym wagonie to uciekałam do następnego i jakoś dotarłam do mojego przystanku. Teraz miałam przed sobą 50 km drogi i ani odrobiny żywności (oraz pieniędzy). Obiecowałam sobie, że skoro dojdę do najbliższej wsi, poproszę o trochę jedzenia, ale kiedy już byłam we wsi, wstyd nie pozwalał mi wejść do żadnego domu. Szłam dalej jedząc po drodze kwiaty sosny (tzw. kaszkę) i tak dowlokłam się do domu – znękana, głodna i smutna. A w domu były tylko placki z trawy i ogórki kiszone, trochę zgniłe, które sprzedawano po przecenie.

W tajdze zaczęły się pokazywać poziomki, zbierałam je dla nas wszystkich. Następnie zaczęły się pojawiać grzyby, ale ani jagodą ani grzybem nie zastąpi się chleba i kartofli. [...]

Jagody i grzyby zbieraliśmy też na sprzedaż. Ojciec woził je aż do Barnału. Pamiętam naszą ogromną radość, gdy pewnego dnia tata zjawił się w towarzystwie szarej kozy z jaśniejszymi pręgami, piękną brodą i dużymi rogami. Byliśmy wprost zachwyceni. Radość nasza była tym większa, że Majka (tak ją nazwaliśmy) dawała mały kubek mleka na raz. Staraliśmy się ją doić kilka razy dziennie i chyba to nas uratowało przed śmiercią. Kozą je wszystko, ale dostawała i siano, które po drogach zbierał Pawełek (pogubione przez kołchoźników) i przywoził sankami ciągniętymi przez Żuka.

Ratując się przed głodem próbowałam wróżyć i ja. Rozkładałam karty i plotłam co mi przyszło do głowy.

Pewnego razu szłam głodna i zła do domu. Przed sąsiednim barakiem stała mała dziewczynka. Kiedy się do niej zbliżyłam wykrzywiła się i krzyknęła: „Ty Paliaczka, rozkariaczka” (Ty rozkraczona Polko). Długo się nie zastanawiając walnęłam ją kijem, którym się podpierałam. Wrzask dziecka sprowadził odsiecz w postaci jej matki z koromysłami (nosidlami do wody) w rękę, z którymi puściła się za mną w pogoń. Wpadłam do domu i zamknęłam drzwi. Niura Każewnikowa (bo była to właśnie ona) zaczęła łomotać, przeklinać i urągać. Nie zostawałam jej dłużna (rodziców w domu nie było). Następnego dnia złapałam z bratem Pawłem jej krowę pasącą się w pobliżu rzeki. Po przywiązaniu jej do drzewa wsadziliśmy w jej spód ogona kilka szpileczek krawieckich. Skutek był piorunujący, krowa ganiała, wierciła się. Kiedy sąsiadka chciała ją doić, nie dała się nawet zbliżyć. Następnego dnia piekłam na płycie plasterki ziemniaków, kiedy w drzwiach naszej izby stanęła Niura Każewnikowa prosząc mnie ze łzami w oczach: „Witieńka odczyni”. „Pasmotrim” – odpowiedziałam jej wyniośle i dalej robiłam swoje. Ludzie tam byli tak ciemni, że wierzyli w takie sprawy, jak dzieci. Oczywiście, znowu z pomocą brata „odczyniłam”, czyli odczarowałam krowę (choć nie bez trudu). Wiem doskonale (choćaż wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy), że było to barbarzyństwo. Ale chęć odegrania się za te wszystkie lata upokorzeń była ogromna.

Od tego czasu stosunek dorosłych tubylców do nas Polaków uległ znacznej poprawie. „Paliaki eto kałdowszczyki” (Polacy to czarodzieje) – mówili. Po prostu zaczęli się nas bać. A za strachem przyszedł autorytet – wiadomo Polacy wszystko potrafiały. Teraz już mogłam nie tylko kolegować z Mańką, ale i z Niurką Jagunową, Łońką, Sierozką i Kolką Szczegielichywymi. Śpiewałam czastuszki lepiej od nich, a

żując „sierę” (ową gumę do żucia z żywicy) „klaskałam” ustami głośniej niż one. Mój język rosyjski, jak na wiejskie stosunki stał się całkiem niezły. My, polskie dzieci, stawałyśmy się powoli częścią dziecięcej społeczności tubylców, z tą różnicą, że byliśmy sprytniejsi i bardziej inteligentni.

Latem zaczęły dojrzewać czerwone borówki, czyli brusznice. Zbieraliśmy je całe dnie, a kiedy się nazbierało dużo, mama ładowała je do koszy i odprowadzała mnie z nimi na przystań statku parowego. Statek ten nie miał stałego rozkładu kursowania, a pływał kiedy chciał i jak chciał. Woziliśmy nim jagody do Barnaulu i sprzedawaliśmy po 5 rubli za szklankę. Najgorsze było to wyczekiwanie z dwoma koszykami i plecakiem na brzegu rzeki Ob. Paliliśmy tam ognisko, ale muszki i komary tak dawały nam się we znaki, że po paru dniach oczy były całkiem czerwone (muszki atakowały szczególnie oczy). Niekiedy statek pojawiał się dopiero po 5 dniach i wtedy oczekiwanie stawało się koszarne. Kiedy dawał się słyszeć odgłos syreny, wszyscy czekający podrywali się na nogi. Przymocowywano kosze i wiadra na plecy, zakładano plecaki, albo po prostu woreczki ze sznurkami i wszystkie oczy zwracały się w stronę rzeki. A tam buchając parą i dymem zbliżał się ku nam statek „Krasnaja Zwiezda”. Po przycumowaniu i położeniu trapu marynarz zaczynał sprzedawać bilety i kolejno wpuszczać na statek. Ponieważ zawsze miałam dwa kosze i plecak dostawałam się na pokład ostatnia. W tym czasie miejsca w kajucie już były zajęte, zostawałam więc przeważnie na pokładzie, nad kotłownią. Tam pokład był ciepły i mogłam się na nim dobrze wyspać. Statek często przypluwał nocą i to było najgorsze, bo jakiś czas po obudzeniu nie mogłam się połapać gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Rano na statku było przyjemnie. Marynarze śpiewali, przekomarzali się z dziewczynami, a ze mnie się przeważnie śmiali, bo po nocnej przytulance do podłogi byłam brudna i czarna jak Murzyn po czarnej kawie. Dookoła widoki były niezwykle. Soczysta zieleń, piękne kwiaty (takie rosną u nas tylko w ogrodach), śpiew ptaków. Nad rzeką zwiślała mgła unosząca się stopniowo wraz z upływem poranka. W miarę zbliżania się do miasta coraz częściej przybijaliśmy do licznych przystani wodnych i coraz ciaśniej robiło się na pokładzie i pod pokładem. Po przycumowaniu do przystani w Barnaulu, znów miałam duży kłopot z opuszczeniem statku. Kosze z jagodami i plecak ciągnęłam prawie po ziemi. W mieście oczywiście nie było żadnego targu. Po opuszczeniu statku przykucałam gdzieś na rogu ruchliwej ulicy i zaczynałam sprzedawać borówki, mierząc je szklankami. Jednego razu podszedł do mnie wyrostek, nadstawił czapkę i kazał mi sypać. Nasypałam jedną szklankę i poprosiłam o pieniądze. Kopnął mnie nogą i kazał sypać dalej. Kiedy nasypałam pięć szklanek splunął na mnie i odszedł. Innym razem grupa chłopców otoczyła mnie a jeden z nich zaczął unosić nogą mój koszyk z jagodami do góry i na bok. Widząc to rzuciłam się za koszykiem unosząc nogę, pod którą trzymałam mój plecak z jedzeniem. Wtedy ktoś z tyłu chwycił plecak sadząc, że w nim znajdują się pieniądze. Mylił się jednak bardzo. Pieniądze kładłam, nauczona doświadczeniem za koszulę na piersiach. Zabrałam prawie puste już kosze i powlokłam się jak zbity pies na rynek, żeby tam coś kupić do zjedzenia. Było mi bardzo smutno.

Latem jeździliśmy czasem za rzekę Ust' Czumysz, gdzie na ogromnych łąkach rosły dzikie truskawki, tzw. głubienika. Były to owoce większe niż poziomki, a mniejsze niż zwykłe truskawki, bardzo wonne i słodkie. Zbieraliśmy je przeważnie do jedzenia, bo do transportu do miasta nie nadawały się. Pewnego razu, kiedy olbrzymią łodzią przepływaliśmy przez rzekę, nasza mama, która miała zachwiany zmysł równowagi (i lęk wysokości) wpadła do rzeki. Zniknęła nam z oczu zupełnie, tylko liczne, srebrne

pęcherzyki wskazywały miejsce gdzie wpadła. Podniosłam krzyk. Przewoźnik zatrzymał łódź w miejscu, zaczęła się ona stopniowo obracać w koło. Ja krzycząc przeraźliwie wlepiłam wzrok w miejsce, gdzie zniknęła mama. Wszyscy pasażerowie łodzi (a była ona pełna) na moment zamarli. W pewnej chwili przy burcie ujrzałam rozpuszczone włosy. Złapałam za nie i ile sił w płucach wołałam ratunku. Na ten krzyk siedzące dotychczas towarzystwo zerwało się. Wciągnięto mamę do łodzi i ruszono do brzegu. Tam długo jeszcze nie mogli wypłatać moich palców z włosów mamy. Przewrócono ją przez pień na brzuch, z ust wypłynęły strumienie wody. Kiedy odzyskała przytomność, nawymyślano nam od różnych i zostawiono na brzegu. Po tym wydarzeniu długo śniły mi się koszmary i bardzo długo moczyłam się nocą.

Któregoś dnia powróciła siostra Fela z więzienia. Była żółta, szyję miała długą, chude nogi i ręce. Przynosiliśmy dla niej zebrane truskawki, dzikie borówki – czerwone i czarne. Powoli zaczęła się ożywiać, zwłaszcza, że posadzone przez nas wiosną ziemniaki można było już kopać. Tylko ich ilość nie dawała gwarancji przeżycia. Chodziłyśmy więc z siostrą na zarobek do kolchoźnic, które za dzień pracy w ogródku dawały nam wiaderko kartofli. Siostra zaczęła też znowu pracować przy spławie drewna, a konkretnie przy spuszczeniu ogromnych pni drzew do rzeki Ust' Czumysz. Z jednej i drugiej strony ustawiali się ludzie z bosakami i śpiewając: „Raz, da jeszcze bieriom; razok, da jeszcze bieriom”, ciągnęli drzewo na stromy brzeg rzeki. Kiedy pień znalazł się tuż nad urwiskiem puszczano go i staczał się do wody. Gorzej jeżeli zatrzymywał się stając na sztorc. Wówczas trzeba było wchodzić do wody, aby go dalej spychać i odpowiednio kierunkować. Najgorszy był zator z kilkunastu poplątanych pni. Trzeba było „rozplątywać” go na wodzie, poruszając się po obracających się pniach. Pewnego razu, spadający do wody pień, uderzył w bok moją siostrę, która do dziś odczuwa ból w tej okolicy. Uraz był silny i kto wie, czy Fela nie umarłaby od tego, gdyby nie przeniesiono jej do łżejszej pracy. Odtąd pracowała na tzw. Iniu. Tak się nazywał ośrodek hodowli cieląt kolchozowych. Do pojenia cieląt potrzebne było mleko. Mleko było też potrzebne siostrze. Dzieliła się więc ze zwierzątkami po Bożemu: trochę dla nich, trochę dla siebie, a nawet trochę dla mnie, ponieważ z czasem mnie też skierowano tam do pracy. Wyrabiałam maty do ocieplania inspektów. Jak już wspominałam, zimą Felę i Czeška posyłano do pracy na tzw. Charę, gdzie była prowizoryczna fabryczka produkująca terpentynę. Do produkcji terpentyny potrzebne były korzenie sosny. I właśnie zimą pracownicy posługując się łomami, łopatami i siekierami wyrwali je ze zmarzniętej ziemi i dostarczali do kotłów, w których pędzono terpentynę. Na polach wokół fabryczki sadzono również ziemniaki. Było to całkowite pustkowie, oddalone od wsi o 18 km. Stały tam baraki, gdzie spali pracownicy, pokotem – jeden obok drugiego. Była też kuchnia, gdzie przygotowywano rano posiłki. Wykopane jesienią ziemniaki przechowywano w ziemnych piwnicach. Tam też pracowałam zimą przy przebieganiu ziemniaków. Pamiętam, że nieraz pracowałyśmy i nocą, żeby mieć dzień wolny. Często zasypiałam w tych ziemniakach na kartoflach i tylko słyszałam jak kobiety mówią: „Nie trzeba jej budzić, niech sobie pośpi”. Kiedy po nocnej pracy wracałyśmy do domu, kobiety szły jak wicher, ja natomiast nie nadażałam za nimi i bałam się bardzo wilków. Biegłam więc za kobietami całe 18 kilometrów (po wojnie, w szkole wygrywałam w zawodach, tzw. marszach jesiennych). [...]

Powoli zaczęliśmy się zagospodarowywać. Oprócz ziemniaków, wysiewaliśmy też trochę innych warzyw, ale niedużo, ponieważ brakowało nasion. Naszą izbę

malowaliśmy często białą glinę, po którą wyprawialiśmy się daleko, aż nieopodal wsi Szyszkiń. Występowała tam na zboczu rzeki Ust' Czumysz. Przed barakiem wykopaliśmy 2,5-metrowy dół. Jego ściany wyścieliliśmy belkami, z wierzchu również zabezpieczyliśmy belkami i ziemią. Zrobiliśmy też drzwi, które otwierały się do góry – to było wejście do piwnicy. Przechowywaliśmy w niej trochę ziemniaków, dynie (tykwy) i beczkę kapusty zalaną wodą. Zimą odgrzebywało się śnieg, po drabinie wchodziło do środka, brało co trzeba i z powrotem zagrzebywało się wejście śniegiem.

Pewnej, nieznacznej zresztą, poprawie nasza dola uległa po nawiązaniu z nami kontaktu przez przedstawicieli ambasady polskiej. Przyjechał nawet delegat z ambasady. Pani S. przygotowała dzieci polskie do występów przed nim. Popisywaliśmy się jak tylko umieliśmy, a na zakończenie zaśpiewaliśmy (na melodię: „Grzybek tu, grzybek tam...”):

A teraz prosimy pięknie pana delegata,

Aby nam z ambasady kazał przysłać czekolady.

Oczywiście czekolady nie dostaliśmy. Ale zaczęliśmy dostawać pomoc materialną z Zachodu. Były to stare, noszone ubrania, nieraz jednak w dobrym stanie, oraz żywność w postaci grochu, kaszy i masła kokosowego. Po te dary trzeba było chodzić 50 km do siedziby rejonu w mieście Talmienka. Ponieważ wszyscy dorośli pracowali, wysyłano przeważnie mnie. Wychodziłam zimą o godzinie 4 rano z sankami. Sanki brałam dlatego, że trzeba było zabrać dary nie tylko dla mojej rodziny, ale i dla wszystkich Polaków mieszkających we wsi. Były te wyprawy bardzo dla mnie uciążliwe. Za pierwszym razem do Talmienki dotarłam wraz z zachodem słońca. Trzeba było szukać noclegu. Zaczęłam więc chodzić od domu do domu, prosząc o przenocowanie mnie. Mierzono mnie od stóp do głów i odmawiano. Byłam bardzo zmęczona, a nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Przystawiali je automatycznie. Kiedy w kolejnym domu jakaś babcia także mi odmówiła, rozbeczałam się na głos. Widać wzruszyło to nieco ową kobietę, bo powiedziała: „Wejdz”. Pozwoliła mi położyć się na podłodze pod stołem. Nocą obudziły mnie kroki babci, a po pewnym czasie poczułam, że obmacuje mnie ona w ciemności. Przypomniła mi się bajka o Jasiu i Małgosi. Drżałam i obawiałam się, że zostanę uduszona albo upieczona. Ale babcia poszła spać. Jak się później okazało, w mieście tym częste były wypadki kradzieży dokonywanych przez dzieci, przeważnie sieroty wojenne. Owa babcia sprawdzała czy śpię, czy czegoś nie zabrałam i czy nie mam zamiaru uciekać. Nazajutrz podziękowałam babci i ruszyłam szukać pełnomocnika do spraw rozdziału żywności. Chodziło mi o panią S., która pobrała dla Polaków z naszej wsi przydział żywności. Po długim poszukiwaniu znalazłam ją wreszcie na zabawie publicznej w domu kultury. Tańczyła z lejtnantami – frontowcami. Przykro mi było z tego powodu. Polki zazwyczaj trzymały się dzielnie i nie wchodziły w poufale stosunki z Sowiecami. Kiedy z wielkim trudem wydebiłam od niej przydział i załadowałam go na sanki, ruszyłam w powrotną drogę. Była ona jeszcze trudniejsza, ponieważ na sankach znajdował się spory bagaż. Kiedy za Talmienką minęłam przejazd kolejowy, droga prowadziła przez zarośla z pojedynczymi drzewami. Pod jednym z nich spostrzegłam dziwną postać, ni to żeńską, ni to męską, całą umorusaną w węglu i grzebiącą się za pazuchą. Osoba ta przenosiła wzrok ze mnie na sanki i odwrotnie. Byłam za blisko, żeby cofnąć się z powrotem, a biec do przodu nie miałam sił. Stałam więc jakieś 10 metrów przed owym osobnikiem, cała zlaną zimnym potem i obejrzałam się za siebie. Zza zakrętu drogi, ku mojej nieopisanej radości wyłoniła się kobieta z wyrostkiem. Amator moich sanek też widać ich dostrzegł,

bo cofnął się i nachyliwszy się zaczął grzebać w butach. Podejrzewam, że człowiek ten zeskoczył z wagonu z miałem węglowym na przejeździe kolejowym (gdzie pociąg nieco zwalnia). Zaczekałam aż ludzie się zbliżyli do mnie i razem ruszyliśmy dalej. Jednak już wkrótce zostałam znowu sama, bo oni pędzili jak wiatr i o dotrzymaniu im kroku mowy być nie mogło. Nocą dotarłam wreszcie do mojej wsi. Tam rozdałam Polakom groch i masło kokosowe i ruszyłam do mojego przysiółka. W domu wypatrywano mnie już z niepokojem, ale i nadzieją. Czułam się bardzo dumna i szczęśliwa. Wyprawy takie powtarzałam kilka razy. Dodam jeszcze, że Czesiek jeździł, aby wstąpić do Armii Andersa. Jednak po pewnym czasie powrócił – był za młody. Potem słyszeliśmy też o powstaniu wojska polskiego nad Oką, ale myśmy tego wojska nie uważali za polskie, chociaż dużo młodzieży, nawet żeńskiej tam pociągnęło.

Po opuszczeniu przez Andersa terenów Związku Sowieckiego zaczęły się naciski, abyśmy przyjęli obywatelstwo sowieckie. Ojca i starsze rodzeństwo wzywano kilkakrotnie i namawiano gorąco. Kiedy odmawiali, straszono ich więzieniem i skierowaniem do gorszej pracy. W naszej wiosce była grupa Polaków z Kobrynia, m.in. p. Marusia i p. Lusja z matką. Pod naciskiem i groźbą przyjęły one sowieckie obywatelstwo. Pracowały wtedy w piekarni, a potem nawet w biurze. Były to osoby wyznania prawosławnego, więc może nacisk na nie był szczególnie silny. Wojna trwała. Na naszym osiedlu coraz więcej kobiet dostawało zawiadomienie o śmierci mężów. Pierwsza była synowa babci Kałganowej. Płacz matki i żony wstrząsnął mną. Potem zawiadomiono Jagunową i Szczegielichyną. Tylko ojciec Mańki Timofiejewej żył, a nawet zaczął przysyłać paczki. Była w nich starsza i nowsza bielizna damska, sukienki i obuwie. Mańka, Niurka i Szurka szczyły się ze zdobyczy wojennych ojca, wśród których były też poszwy do pierzyn i poduszek. [...]

W tym czasie Czesiek i Fela nadal pracowali na Charze. Ich naczelnikiem był wówczas człowiek o nazwisku Bezdienieżny. Miał on na utrzymaniu żonę, 6 dzieci, dziadka i babcię. Mimo, że był wymagający, to jednak dbał o pracowników, był sprawiedliwy i życzliwy. Pomimo starszego wieku, powołano go na skutek intryg, do wojska, gdzie zaraz poległ. Żona z dziećmi przeniosła się do Talmienki, gdzie odwiedziłam ją po 37 latach. Do pracy na Charze zgłosił się również nikomu nie znany młody człowiek – Kolka, który zaprzyjaźnił się z bratem Cześkiem. Pewnego dnia, ów Kolka przyszedł do nas do domu i powiedział, że przysyła go brat i prosi, żeby mu dać buty, ubranie i dużo rzeczy na handel. Jadą bowiem do takiej wsi, gdzie kolchoźnicy dostają za pracę zboże i przywiozą od nich mąkę. Oczywiście rodzice dostarczyli mu czego chciał, a ojciec nawet zdjął swoje buty i też oddał. Kolki już więcej nie zobaczyliśmy ani na jawie, ani we śnie. Całe szczęście, że rodzice dali mu wszystko, czego chciał po dobrej woli, inaczej mogłoby się to skończyć morderem. Był to bowiem bandyta poszukiwany listem gończym.

Tymczasem do biura kolchozu przyszło zawiadomienie, że Polacy mogą szykować się do wyjazdu. Radość nasza była niestety zmieszana ze smutkiem – Serwacy nie doczekał. Żeby wyjechać potrzebne były dokumenty z fotografiami dzieci. Wyruszyliśmy więc do Talmienki (50 km), do fotografa – brat Czesiek, siostra Fela, no i ja. Brat i siostra dostali zwolnienie z pracy tylko na jeden dzień. Skoro świt ruszyliśmy w drogę. Starsze rodzeństwo starało się iść szybko, ja ledwie mogłam nadążyć za nimi. Przez Jazowo, Szyszkinę, Zajcowo, Kulikowo, Naumowo doszliśmy do Talmienki, gdzie zrobiono nam zdjęcia. Zaraz też ruszyliśmy w drogę powrotną (a przypominam, że za sobą mieliśmy już przebyte 50 km). Początkowo jakoś jeszcze podążałam za nimi,

ale już od Zajcovej nóg nie czułam. Nawet nie mogłam ich podnieść, tylko ciągnęłam za sobą. Na próżno rodzeństwo namawiało mnie do wysiłku („To już niedaleko”). Ledwie dowlokłam się do Szyszki. Siostra i brat widząc, że dalej nie ujdę zaczęli szukać noclegu u Polaków mieszkających we wiosce. Po wypoczynku, skoro świt ruszyliśmy dalej. Fela z Cześkiem mieli przecież pójść do pracy, a mnie było przykro, że ich zatrzymałam. Wstydziłam się również płaczu, bo przecież uchodziłam za osobę twardą, a tu klops!

W marcu 1946 r. przyszło zawiadomienie, że możemy wyjechać do punktu zbiorczego w Talmience. Ojciec sprzedał kozy, za które dostał trochę żywności na drogę i buty z cholewami w harmonijkę dla mnie. Do tego mama ze starego swetra zrobiła mi białe pończochy i czułam się tak pięknie ubrana i w ogóle piękna, jak tylko może się czuć młoda dziewczyna. Przeglądałam się zresztą we wiadrze z wodą i widziałam w nim twarz całkiem niebrzydka. Zresztą potwierdzała to także owa paszportowa fotografia zrobiona w Talmience. Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, poszliśmy najpierw na cmentarz w Ust' Czumyszu. Tam już spoczywał p. Lewandowski, p. Kończanin, babcia Dulińcowa no i Serwunia. Ciężkie to było rozstanie. Mama zakopała w ziemię różaniec. Znalazłam go po 37 latach, porządkując mogiłę, w postaci białych, pojedynczych koralików. Ponieważ były roztopy, kołchoz dał furmanki, na które Polacy załadowali swój dobytek i w drogę.

W momencie wyjazdu rozegrała się tragiczna scena. Rodzina Lusi z Kobrynia (z matką) oraz Marusia nie dostały pozwoleń na wyjazd. Przyjęły bowiem (pisałam już o tym) sowieckie obywatelstwo. Teraz, kiedy myśmy wyjeżdżali, oni odchodzili od zmysłów, mdleli i wrywali sobie włosy z głowy. Odjeżdżaliśmy, żegnani przez Sybiraków i samotną mogiłę naszego brata, obok której wypadło nam przejechać. Co się działo w sercach rodziców można się tylko domyślać. Wieczorem, idąc za wozami, które wiozły nasz bagaż i małe dzieci, dotarliśmy do Talmienki. Tam umieszczono nas w domu kultury, do którego ściągano z okolicznych wsi Polaków. Zrobiło się tłoczno i gwarno. Zarówno rodzice, jak i dzieci nawiązywały nowe znajomości i przyjaźnie. Ja z braćmi i kolegami grałam w tysiąca. Doszłam do takiej wprawy, że trudno było ze mną wygrać. Prawie miesiąc czekaliśmy, aż zjadą się wszyscy Polacy z najdalej położonych wsi i przysiółków. Nasz ojciec i w tym czasie nie próżnował. Chodził na targ, kupował coś taniej, a sprzedawał drożej i za zarobione pieniądze gromadził zapas chleba na drogę.

Gdy Polacy zostali zgromadzeni, podstawiono nam wagony i ruszyliśmy do Polski. Znowś tłoczono nas bardzo, ale wagony nie były już zaplombowane. Na środku każdego stał piecyk żelazny (czyli tzw. koza) i trochę opału. Z opałem jednak, przynajmniej nasz wagon nie miał kłopotu, bo na każdej, większej stacji chłopcy wyskakiwali do węglarek po węgiel. Nanosili jego tyle, że starczyło nie tylko na ogrzewanie, ale i gotowanie. Raz na dobę pociąg się zatrzymywał i z poszczególnych wagonów szli delegaci po zupełną nieraz i kawałek chleba. [...]

Pociąg często zatrzymywał się (zwykle dlatego, że przepuszczał transporty wojskowe). Im bliżej byliśmy Polski, tym postoje bardziej się przedłużały. Pociąg stał ile chciał i ruszał bez zapowiedzenia. Bardzo często Polacy, którzy stali po zupełną lub wodę zostawali na stacji i potem doganiali nas dopiero po kilku dniach. [...]

9 maja 1945 r. znaleźliśmy się we Lwowie. Wszystkim Polakom kazano oddać dokumenty, złoto i wartościowe przedmioty pod groźbą cofnięcia z powrotem na Syberię. Na granicy w Medyce kontrolowano wagony i wciąż pytano o kosztowności i

dokumenty. Po przekroczeniu granicy ludzie starsi, w tym i moi rodzice, padali całując ziemię polską i dziękując Panu Bogu za łaskę powrotu.

Pierwszym, większym miastem był Przemyśl, gdzie udaliśmy się gremialnie do kościoła próbując dziękować Bogu za cud ocalenia i powrotu. Oberwani, w znoszonych kufajkach, brudni i głodni ludzie całowali nogi Zbawiciela i modlili się za tych, którzy tam zostali.

Kiedy nasz pociąg zatrzymał się w Poznaniu, na peron przyszła gromadka pań z Czerwonego Krzyża. Ja paradowałam po peronie w butach z cholewami w harmonijkę (choć to był maj) i w waciaku. Jedna z tych pań powiedziała do reszty: „Patrzcie taka ładna dziewczynka, a jak ona ubrana”. Byłam pewna, że moje nowe buty i strój spodobały się tym paniom. Ale było odwrotnie. Poprosiły mnie na stację do jakiegoś pokoju i ubrały w granatową sukienkę, pantofle z krokodylowej skóry, piękne pończochy i koszulę. Kiedy zerknęłam na siebie w lustro, byłam oszołomiona i olśniona. Pocałowałam w rękę wszystkie po kolei panie, zabrałam swoje łachy i pędem udałam się do wagonu. Patrzano na mnie z wielkim szacunkiem. Ja natomiast zdjęłam czym prędzej z siebie te piękne ubrania, założyłam stare i szybko wsiadłam do wagonu. Pomyślałam też sobie, że Poznań to najpiękniejsze miasto na świecie. [...]